

Kościół po liberalizmie

Czy okres transformacji zmienił Kościół w Polsce? Nie. Raczej uśpił jego czujność. Cena za to jest coraz wyższa



Czy okres transformacji zmienił Kościół w Polsce? Nie. Raczej uśpił jego czujność. Cena za to jest coraz wyższa

W latach 80. Kościół w Polsce udzielał mniej lub bardziej oficjalnego poparcia dla opozycji demokratycznej w Polsce. W Solidarność zaangażowało się wielu księży, spotkania odbywały się w budynkach parafialnych i nawet sceptyczny względem Solidarności prymas Glemp organizował pomoc internowanym działaczom. Było dla wszystkich

jasne, że skoro Kościół jest przeciwko komunie, to znaczy, że jest za demokracją. Jeśli zaś jest za demokracją, to na pewno za jej specyficzną formą, którą nazywano liberalną.

Dla intelektualnych elit solidarnościowych było czymś oczywistym, że po obaleniu komunizmu w Polsce rozpocznie się budowanie pewnego projektu, który znali z zachodniej literatury filozoficznej i politologicznej. Kościół natomiast wycofa się na z góry upatrzone pozycję – będzie zajmował się modlitwą i pracą charytatywną. W okresie zaś przejściowym, tym, co nazywano „budowaniem demokracji” Kościół jeszcze pozostanie w sferze publicznej, ale tylko po to, by swoim autorytetem wzmocnić pożądane tendencje.

Liberalna teokracja

W ten sposób wytworzyła się nad Wisłą bardzo specyficzna forma demokracji liberalnej, która została zsakralizowana. Liberalizację zatem połączono z różańcem, a europeizację z duchem Ewangelii i soborów powszechnych. Ze słów Jana Pawła II były wyciągane przede wszystkim te, w których Ojciec Święty popierał wstąpienie Polski do struktur europejskich. Mniej chętnie dodawano te, w których zawierał pewną koncepcję uczestnictwa we wspólnym projekcie – uczestnictwa, które miało charakter niemal misyjny. Zupełnie zaś milczano o wielkich homiliach, w których papież wskazywał na łamanie dekalogu. Jak choćby w czasie przejmującej pielgrzymki z 1991 roku, która powinna być uznana za mocne zaakcentowanie różnic między nauczaniem moralnym i społecznym Kościoła, a praktyką polityczną, prawną i ekonomiczną Polski po 1989 roku.

Gdyby trzeba było krótko i dosadnie nazwać to, co zrobiono z Kościołem, jego nauczaniem i prostą wiarą zwykłych ludzi w III RP, to należałoby użyć słowa „instrumentalizacja”. Więc po 1989 roku dokonano, także przy pomocy wielu ludzi Kościoła skrajnej instrumentalizacji przesłania katolickiego, forsując jako dogmatycznie pewną jedną z jego wersji – te, którą podzielały środowiska bliskie politycznym elitom nowej Polski. Wtedy też zaczęło się dzielenie biskupów i księży na dobrych i złych. Tych, którzy rozumieją demokratycznego ducha i tych, którzy działają mu na przekór. Ci dobrzy mieli pełne prawo do wypowiedzania się w sprawach publicznych, nawet popierania partii politycznych oraz stanowisk w konkretnych sprawach. Tym bardziej byli cenieni, im mocniej udawało im się odciąć od tych współbraci, którzy demokracji nie rozumieli. W archiwach gazet z lat 90. i początku XXI wieku możemy znaleźć kuriozalne wywiady z biskupami i księżmi, którzy jednym tchem są gotowi potępić polityczne zaangażowanie hierarchii kościelnej, poprzeć Unię Europejską, ozdobić to Ewangelią i papieskim nauczaniem, a potem wskazać wyraźnie, na kogo katolik nie powinien głosować (w domyśle, że powinien popierać Unię Wolności).

To właśnie dawna Unia Wolności, zwłaszcza w czasach, gdy ton nadawał jej Tadeusz Mazowiecki, dokonała niewiarygodnego w polskiej historii utożsamienia katolicyzmu z jedną opcją polityczną. Od Mszy w Krzyżowej po dyskurs okołookcesyjny, wszystko było pokropione wodą święconą i to w imię nowego i oświeconego systemu.

Cena spokoju

Trzeba przyznać, że to zaangażowanie polityczne części osób Kościoła odsunęło od Kościoła perspektywę szybkiej fali antyklerykalnej. Okres przejściowy, w którym założenia nowego systemu, od kwestii europejskich po dekomunizacyjne, uzyskały swoje teologiczne uzasadnienie godne systemu teokratycznego, był dla Kościoła względnie spokojny. Antyklerykalizm właściwie nie był obecny w przestrzeni publicznej – może poza pewnymi incydentami. Instytucje dialogu Kościoła i państwa, wspólne komisje i administracyjne otoczenie tych punktów styku, jak komisja majątkowa, etaty dla katechetów czy Fundusz Kościelny, były nienaruszone i raczej niekwestionowane. Batalia wokół konkordatu była dość łagodna i poza pojedynczymi wystąpieniami posłów SLD większego skandalu nie było. Krzyż wisiał w Sejmie, a papież mógł tam przemawiać prawie jak monarcha.

To był czas, w którym świeckie państwo potrzebowało Kościoła. O jednym z tego powodów już pisaliśmy – potrzebna była sankcja teologiczna dla podejmowanych działań. Ale jeszcze jeden aspekt był niezwykle ważny. Po 1989 roku właściwie nie istniały instytucje państwa. Wszystko miało charakter prowizoryczny i niepewny, a na pewno pozbawiony autorytetu, który niezbędny jest do egzekwowania władzy. Jak wielokrotnie w historii, okazało się, że struktury kościelne są trwalsze od państwowych i w okresach przejściowych potrafią wziąć na siebie ciężar utrzymywania w jedności państwa. Nie byłoby Polski samorządnej bez Polski parafialnej. Nie byłoby zaufania do instytucji państwowych w latach 90., gdy nie wyświęcił ich biskup – ta rękojmia ciągłości władzy w kraju. Szkoły również nie odbudowałyby swojego autorytetu nadszarpniętego współpracą z aparatem komunistycznym, gdyby nie wprowadzenie katechetów.

Tak, antyklerykałowie nie mylą się bardzo. Polskie państwo w latach 90. oparło się na Kościele hierarchicznym i jego strukturach w całym kraju. Burmistrz i wójt z proboszczem, wojewoda z biskupem, prezydent z całym episkopatem. Zapewniło to wyciszenie części z postulatów, jakie głosili liberałowie. Zdawali sobie sprawę, że to jeszcze nie czas na radykalne zmiany obyczajowe i że przed ich wprowadzeniem musi nastąpić polityczne ustabilizowanie Polski i jej integracja ze strukturami europejskimi. Bez Kościoła nie dało się tego dokonać. Wiedział to nawet skrajnie cyniczny w takich sprawach Leszek Miller.

Ta sytuacja uspiła czujność katolików. Zamiast potraktować ten czas jak należy, czyli jako okres przejściowy właśnie, przyjęli, że ma on charakter trwały i dowodzi stabilności sytuacji katolicyzmu w Polsce. Tymczasem ten alians państwa z Kościołem miał charakter wyłącznie funkcjonalny i po osiągnięciu zasadniczych celów, czyli integracji z instytucjami unijnymi i po okrzepnięciu układu okrągłostołowego w Polsce Kościół przestał być potrzebny. Pojawiło się zatem przyzwolenie na to, co wcześniej nie mogło mieć w Polsce miejsca. Szczucie na księży, bluźnierstwo i radykalne postulaty zmiany prawa.

Kościół na ten moment okazał się nie być przygotowany. Myśląc w starym stylu, że zasadnicze sprawy rozwiązuje się z państwem w relacjach dwustronnych i za zamkniętymi drzwiami, hierarchowie ze zdumieniem odkryli, że władza nie ma oporów przez podnoszeniem antyklerykalnych postulatów publicznie, że chętnie rozgrywa go politycznie i że chce sama wyznaczać Kościołowi miejsce, jakie ma zajmować, zarówno w sensie doktrynalnym, jak i materialnym.

Spóźniona modernizacja?

Na początku lat 90. ludzie nieraz podnosili wątpliwości, co do nowego porządku. Krytykowali – zresztą w duchu pielgrzymki papieskiej z 1991 roku – zmiany moralne i obyczajowe, wskazywali na niekorzystne dla rodzin zmiany w prawie, buntowali się wreszcie przeciw dogmatycznemu podchodzeniu do wolnego rynku i wskazywali jego niezgodność ze społecznym nauczaniem Kościoła. Ze strony ugodowców wewnątrz Kościoła spotykała ich jednak ostra, często zbyt agresywna krytyka. Mieli więc – w oczach krytyków - zamykać chrześcijaństwo w twierdzy, zamiast otwierać je na świat zewnętrzny, mieli nie rozumieć, na czym polega demokracja i wolny rynek, a swoim sprzeciwem wobec władzy upolityczniać Kościół (jakby popieranie nie było upolitycznianiem, jakby polityka pojawiała się dopiero wtedy, gdy ktoś powie „nie”). O ile więc w latach 90. prymas wskazywał na niesprawiedliwość nowego porządku, o tyle z czasem tego typu wypowiedzi wypadły z głównego nurtu publicznej aktywności Kościoła.

Z tamtego czasu pochodzi diagnoza Jarosława Gowina, który opisał owe antyliberalne wystąpienia ludzi Kościoła i wskazał na ich nieprzystawalność do języka liberalnej demokracji. W tej narracji Kościół przeżywał „spóźnioną konfrontację z nowoczesnością”. Komunizm miał bowiem w Polsce zamrozić procesy modernizacyjne i sprawić, że w odróżnieniu od krajów zachodnich nasz Kościół nie przeszedł lekcji współistnienia z demokracją liberalną. I gdy ona już nastąpiła, ludzie Kościoła mieli posługiwać się archaicznym i nieprzystającym do nowej rzeczywistości językiem, metodami działania i wyobrażeniem o aktywności publicznej. Za tą diagnozą kryło się

przekonanie, że kohabitacja Kościoła i liberalnej demokracji jest możliwa i że da się zachować integralność przesłania katolickiego wraz z właściwymi mu metodami działania w ramach porządku liberalnego.

Wydaje się jednak, że owej spóźnionej modernizacji Kościół nie doświadczał wcale w latach 90., ale spotyka się z nią teraz. I że kluczowe dla zmian wewnętrzkościelnych wcale nie było obalenie komunizmu, ale dopiero fiasko wcześniejszych prób współistnienia z III RP. Kościół coraz częściej przekonuje się, że jego obecność w strukturach społecznych i państwowych jest podawana w wątpliwość. Że katolicy, którzy utożsamiają się z jego nauczaniem i mają odwagę to głosić, nazywani są agentami Watykanu i że odmawia się im prawa do zabierania głosu, bo publicznie głosić można tylko jedno – to samo, co zwolennicy tolerancji, obyczajowej modernizacji i prekursorzy chrystofobii.

Kościół już niepotrzebny. Można zabrać się za nowe życie.

Z drugiej jednak strony przed Kościołem i jego ludźmi jest teraz niepowtarzalna szansa do powrotu do nauczania społecznego. Cecha katolicyzmu było zawsze przekonanie, że wiara niesie za sobą konsekwencje nie tylko dla jednostki, ale też dla całej społeczności i że katolik za tę społeczność jest odpowiedzialny.

Czy pojawi się nowa wizja? Czy katolicyzm stanie się na powrót alternatywą dla liberalizmu, a nie tylko jego niszowym dopełnieniem, jak pewien katolicki tygodnik, który jest prawie dodatkiem do wielkiego dziennika niekatolickiego? Ma ku temu wszystkie potrzebne środki i

czas jest właściwy. Trzeba tylko sobie uświadomić, że nie ma powrotu do czasów sprzed bluźnierstwa na Krakowskim Przedmieściu. Pod tego czasu katolicyzm musi działać w Polsce na innych zasadach. Inaczej go nie będzie.

Tak więc owa spóźniona modernizacja, której teraz doświadczamy, może okazać się zbawienna, o ile przywróci integralne myślenie o katolicyzmie – od prawd wiary, przez prawdy moralne, do ich społecznych konsekwencji. Bez bajeczek o wspaniałym świecie, który nam się tu rodzi i przynosi zbawienie. Nowe, europejskie, i takie jakieś liberalne.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się pierwotnie w Nowym Państwie Numer 2 (84)/2013